

WIEŻ co Tydzień

Szczęście jest, bo życie jest
czwartek, 28 listopada 2024

| Temat numeru

Szczęście jest, bo życie jest

Bartosz Bartosik

**Listopadowy deszcz i szczęście
muśnięte palcem**

Damian Jankowski

**Ewa Woydyło: Szczęście,
tak jak orchidea, nie może się
rozwinąć na złej glebie**

Katarzyna Jabłońska, Cezary Gawryś

**Wojciech Marczewski: Szczęście
jest jak lekkie dotknięcie pędzla**

Damian Jankowski

| Podcast

**Szczerze „nie wiem” jest bardzo
twórcze**

Rozmawiają Julia Fiedorczuk
i Damian Jankowski

| Kościół

**Winy – całkowicie
i wyłącznie – jest dorosły.
Mój apel do biskupów**

Robert Fidura

| Polska

IPN – wspólny czy partyjny?

Sebastian Adamkiewicz

| Kultura

**Muzeum Sztuki Nowoczesnej –
obserwator i sejsmograf zmian**

Zofia Jabłonowska-Ratajska



| Edytorial

Szczęście jest, bo życie jest

Bartosz Bartosik

Paradoks szczęścia jako stanu niezwykle ulotnego, a jednocześnie nadzwyczaj trwałego – o ile pielęgnujemy pamięć o nim – jest jednym z ważniejszych odkryć życia.

Czyli rzuciłeś wszystko i wyjechałeś w Bieszczady? – zapytała mnie przyjaciółka podczas niespodziewanego spotkania w tym tygodniu, gdy opowiadałem jej o weekendowym wypadzie na południowe Podkarpacie. A tam niemal puste szlaki, wspaniała zimowa aura, doskonałe

jedzenie, rytm doby wyznaczany przez górskie wędrowki, wypoczynek i rozmowy z przyjaciółmi. Zero potrzeb.

Co tu dużo mówić – ten stan nie potrwał długo po powrocie do miasta. Potrzeby zaczęły się piętrzyć: w pracy, w domu, a także we mnie. Znowu gonienie króliczka? Niekoniecznie. Przecież w życiu nie chodzi o eskapizm czy rzucanie wszystkiego – bo oznacza to często rzucanie nie tylko sprawami, ale i ludźmi, a to z kolei ociera się już o niebezpieczny egocentryzm – ale o mierzenie się z codziennością i jej trudami, tęsknotami, radościami i nadziejami. Poza tym pamięć o Bieszczadach została i zmieniła moje podejście do tego, co mnie czekało po powrocie.

Paradoks szczęścia jako stanu niezwykle ulotnego, a jednocześnie nadzwyczaj trwałego – o ile pielęgnowujemy pamięć o nim – jest jednym z ważniejszych odkryć życia. Na szczęście (!), jak przekonuje w głównym tekście tego wydania „Więź co Tydzień” Damian Jankowski, nie da się też zredukować szczęścia do czynników czysto racjonalnych.

Nie raz jeszcze napiszemy na tych łamach o systemowych powodach, dla których tak trudno nam być dziś szczęśliwymi. Dziś jednak proponujemy podejście bardziej, hm, lajfstajlowe? Egzystencjalne? Szczęście jest, bo życie jest. Dbajmy o nie.



| Temat numeru

Listopadowy deszcz i szczęście muśnięte palcem

Damian Jankowski

**Co przeżyte, być może nie podlega unieważnieniu,
raczej staje się potrzebną częścią całości.
Brakującym puzzlem układanki.**

Dzieje się to dwa tygodnie temu. Wieczorem, po całym dniu redagowania, wychodzę z domu do księgarni. Idę swoim własnym rytmem, dla mnie ani nie za szybkim, ani za wolnym. W drodze powrotnej czuję w plecaku ciężar odebranych pięć minut temu książek.

W pewnym momencie zatrzymuję się na środku chodnika. Zimno, nieprzyjemnie, ulewa. Niby mam na głowie kaptur, ale twarz szybko staje się mokra od deszczu, który mocno zacina. Przez chwilę obserwuję, jak wokół ponuro. Mgliście. A może paradoksalnie pięknie? Wtedy nagle TEGO doznaję.

Najpierw jest tak, jakbym ponownie doświadczył strat i rozczarowań, które poniosłem lub które stały się moim udziałem w ostatniej dekadzie. Znowu muszę uderzać głową o mur. Znowu nucę za Dżemem, że „wszystko wzięło w łeb”, albo witam się z przyjaciółką ciemnością jak Simon & Garfunkel. Znowu czuję, że ważne dla mnie relacje dobiegły końca i nic z tym nie można zrobić.

Ale po chwili pojawia się inne uczucie, zdecydowanie intensywniejsze i... kojące: że życie – ogólnie, ale i MOJE WŁASNE życie – jest czymś dobrym; że cudownie, że się wydarzyło i trwa; że zwyczajnie cieszę się z niby prostego faktu, że żyję.

W najnowszym odcinku podcastu „Oddech kultury” mówimy o tym z poetką Julią Fiedorczyk: można doświadczyć smutku i radości właściwie jednocześnie. I tego najwyraźniej doświadczam. Cieszę się nie z powodu braku trudności, a pomimo nich. Nie udaję, że czegoś nie było lub że było nieistotne; że w ogóle mnie nie obeszło; że tak naprawdę nie chciałem w tej czy innej dziedzinie zwyciężyć. Chciałem, chciałem. Ale nie wyszło, po prostu, i nie ma się co oszukiwać...

Stoję na tym chodniku w jesiennym deszczu i aż za dobrze zdaję sobie sprawę, że nic, co wokół mnie trudne, nie zniknęło. Dalej noszę w sobie pewną chandrę, którą mniej lub bardziej udanie wyrażam w tekstach, mniejsze bądź większe troski, tęsknoty, które nie chcą się niczym wypełnić, niespełnienia i klęski, od których nie mogę uciec. Elementy oswojone i nieoswojone. Nieoswajalne. Dalej coś tam mnie drażni, coś innego niepokoi. Dalej czegoś nie wiem, i wiem, że będzie jak w finale „Wielkiego piękna” Sorrentino: nieznane pozostanie nieznane. Dalej wisi nad moją głową sporo zobowiązań, bardziej lub mniej przyjemnych. Dalej...

A jednak, mimo wszystko, buzia mi się uśmiecha. Teraz czuję coś więcej niż spokój czy nawet wspomniana radość. Coś, co nie ma żadnego wyraźnego powodu. Bo niby czemu przychodzi do mnie ni stąd, ni zowąd w połowie smętnego listopada? Niczego istotnego w tamtych dniach nie zarejestrowałem: ani domknięcia jakiegokolwiek „życiowego rozdziału”, ani choćby „spotkania po latach”, które wymusiłoby nostalgię.

Nie ma więc wyraźnego powodu, nie ma też cudowności. Jest jak w późnym wierszu Miłosza. Stary poeta budzi się w środku nocy i notuje to, czego doznaje: „Było to uczucie szczęścia tak olbrzymiego i doskonałego, że w życiu minionym istniały tylko jego zadatki. I to szczęście nie miało żadnych powodów. Nie usuwało świadomości i nie zniknęła przeszłość, którą w sobie nosiłem **razem z moją**

zgryzotą [pogr. DJ]. Teraz nagle została włączona jako potrzebna część całości”.

Żadne tam „tak było pisane” albo „tak miało być”. Żadne magiczne „uzdrowienie” czy „wyzwolenie”. Po prostu, co przeżyte, być może nie podlega unieważnieniu czy anihilacji, raczej staje się – nie jest automatycznie z góry – potrzebną częścią całości. Brakującym puzzlem układanki. Co ważne, do całości zostaje włączone dosłownie wszystko, również klęski, gorycz, ból. Wszystko. A jaka to będzie całość, już nie mnie, jeśli w ogóle komukolwiek, oceniać...

Wiem też, że tak już będzie zawsze, do samego końca. Satysfakcja będzie się u mnie mieszała z rozczarowaniem, spełnienie z żalem. Raz czy drugi doznam olśnienia bądź zachwyty, mimo to smak straconych szans nie zniknie z moich warg. Nie przekroczę zresztą magicznego progu, za którym stwierdzę: „oho, zrozumiałem całkowicie, na czym polega życie”. Żyjąc, nie zbliżę się nawet do tego progu, i może to właśnie jest piękne? Pamiętacie anioła z „Nieba nad Berlinem” Wendersa, który zapragnął zostać człowiekiem? Chciał przeczuwać, a nie od razu wiedzieć. Chciał – mówiąc za Staffem – „kochać i tracić, pragnąć i żałować, / Padać boleśnie i znów się podnosić”. Czyli żyć, nawet jeśli zostaną po nas jedynie „ślady na piasku i kręgi na wodzie”. Życie to przecież „nic, a jakże dosyć...”.

Nie ufam słowu „szczęście”, uważam je za jeden z najbardziej wyświechtanych wyrazów. Co roku życzymy

sobie, by kolejne dwanaście miesięcy było szczęśliwe, czyli – w założeniu – bezproblemowe. I by szczęście towarzyszyło nam stale. A ja nie wierzę w nie jako stan, który raz a dobrze można osiąść. Co to, to nie. Szczęście raczej się pojawia i znika. Jest ciche, jeśli krzyczy, robi to szeptem. Bywa najczęściej kruche, niewielkie, jak w piosence Seweryna Krajewskiego. Gubi się nam z oczu, bo „gdzieś tam na liściu / zbyt zmęczone usiadło, / a wiatr z liściem je porwał znienacka, / potem z liściem porzucił / i nie umie tu wrócić / z dalekiego, nieznanego miasta”.

Ale można je kilka razy w życiu musnąć palcem, póki nie uleci. I chyba tego muśnięcia przez chwilę nieoczekiwanie doświadczam. A potem wracam do codziennych zajęć. Wokół mnie znowu deszcz i mgła. Przede mną, oby, jeszcze trochę życia, czyli dobra.



| Temat numeru

Ewa Woydyło: Szczęście, tak jak orchidea, nie może się rozwinąć na złej glebie

Katarzyna Jabłońska, Cezary Gawryś

Uczenie się szczęścia polega na rozwoju emocjonalnym i duchowym. A taki rozwój dostępny jest nie tylko nielicznym osobom wtajemniczonym, ale każdemu – mówi Ewa Woydyło.

Tekst ukazał się w „Więzi” nr 11–12/2008 pod tytułem „Pielęgnowanie szczęścia”

Katarzyna Jabłońska, Cezary Gawryś: Dziś w Polsce często można usłyszeć taką deklarację: żyje się nam być może lepiej niż przed rokiem 1989, ale wcale nie szczęśliwiej.

Ewa Woydyło: Wcale mnie to nie dziwi – poczucie szczęścia jest bowiem zjawiskiem subiektywnym, ono prawie w ogóle nie opiera się na wskaźnikach obiektywnych, dających się policzyć, zmierzyć liczbą dóbr czy zer na koncie, tytułów naukowych etc... Z badań, które jakiś czas temu przeprowadzono, rzeczywiście wynika, że subiektywne poczucie szczęścia Polaków zmalało wraz ze wzrostem standardu życia.

Szczęście to – patrząc matematycznie – wypadkowa wielu wektorów. Najważniejsze z nich mają charakter emocjonalny, a nie materialny. Czy to nie znamienne, że tylu bogatych i sławnych ludzi ucieka od swojego życia w alkohol, narkotyki, a nawet popełnia samobójstwo. Weźmy Marilyn Monroe – świat kładł się u jej stóp, a ona nie była w stanie znaleźć odpowiedzi na pytanie o sens życia. Jeśli więc chcemy mówić o szczęściu, musimy wziąć na warsztat życie emocjonalne człowieka, czyli uczucia. To one tworzą przestrzeń dla szczęścia, albo tę przestrzeń dla szczęścia zamykają.

Jeśli szczęście zależy od naszych uczuć, chyba źle wróży to nam i naszemu szczęściu?

– Szczęście zależy od uczuć, ale te zależą od człowieka. Od niego zależy, jakie uczucia w nim dominują i co z nimi robi. Uczucia, które nazywam ciemnymi, czyli takie jak

nienawiść, złość, mściwość, pamiętliwość, uraza, wrogość, zazdrość, zawiść, gniew, lęk, poczucie winy, wstyd, strach – nie biorą udziału w szczęściu. One wznecają w nas energię, która zamienia się w coś, czego zawsze użyjemy przeciw komuś albo przeciw sobie.

Złość skrzywdzi moje dziecko albo mu dokuczy. Zawiść będzie wrogością wobec sąsiada. Za nimi wszystkimi podąża jakaś odmiana krzywdy. Jeżeli któreś z tych uczuć rozpleni się w nas, to nawet jeśli w życiu przydarzają się nam sytuacje, które powinny nas uszczęśliwić – one nie będą mogły rozbłysnąć. Nawet jeśli dostałam list miłosny, albo moje dziecko narysowało kwiatek i podpisało „dla mamusi”, czy słucham sonaty *c-moll* Beethovena, czyli dzieje się coś, co powinno napełnić mnie radością, wdzięcznością i harmonią – to i tak żadne z tych uczuć się nie przeciwie.

Uczucia należące do repertuaru szczęścia są bowiem bardzo delikatne, a z kolei te „negatywne” mają tendencję do bycia brutalnymi. Przez kolce nienawiści, przez grzęzawiska wstrętu czy złości nie przeciwie się radość z czułego listu, nie dobiegną do mnie i nie przepłyną przez moją duszę dźwięki jakiegoś wzruszającego utworu.

Radość, niekoniecznie zaraz euforyczna, wdzięczność i miłość – w przeróżnych swoich wcieleniach – te uczucia mają największy udział w przywoływaniu szczęścia.

A przyjaźń?

To jest odmiana miłości i wdzięczności.

A zrozumienie? Poczucie sensu?

Zrozumienie i poczucie sensu to pojęcia intelektualne. One zamienić się mogą na przykład w akceptację, muszą jednak „przejsć” przez głowę. Malutkie dziecko w ogóle matki nie rozumie, a się przytula, bo słyszy jej głos. Sfera intelektualna ma ważny udział w budowaniu potencjału do szczęścia, ale do samej natury szczęścia nie przynależy. Wracając do uczuć sprzyjających i niesprzyjających praktykowaniu szczęścia – one są jak gleba. Szczęście, tak jak orchidea, nie może się rozwinąć na złej glebie. Byle chwast wyrośnie na piasku, a nawet na kamieniach. Orchidei trzeba nie tylko zapewnić odpowiednie podłoże, ale umiejętnie i troskliwie ją pielęgnować, czuwać nad jej wzrostem. Podobnie jest ze szczęściem.

Jedni ludzie potrafią być glebą, na której orchidea rośnie, czy też łatwiej wyrośnie, a inni nie potrafią. Dlaczego? Od czego to zależy – od genów, od jakichś szczególnych predyspozycji psychicznych?

Jedni bardzo wcześnie, już jako małe dzieci, zaczynają odczuwać wdzięczność, a inni mają już siwe brody i ciągle komuś, światu, sobie mają coś za złe. Pamiętają niemal wyłącznie o tym, czego nie mają, a nie potrafią cieszyć się tym, co mają.

Neurofizjologia dowodzi, że nie można tu całkowicie lekceważyć czynnika, jakim są geny. Istnieje jakiś genetyczny *make up*, genetyczne wyposażenie, które może rzutować na pewne preferencje emocjonalne. Ale człowiek

tym się różni od wszystkich żywych istot, że może przekraczać siebie. Są ludzie, którzy – nawet jeśli wykazują pewne skłonności do smutku, czarnowidztwa, impulsywnych zachowań, zawiści, ale pracują nad sobą – mają szansę te skłonności skorygować, wyciszyć, nauczyć się je rozbrajać, żeby nie szkodziły ani im samym, ani innym. Tę pracę też można uznać za przygotowywanie gleby, na której ma szansę zakwitnąć orchidea.

A czy do szczęścia można wychowywać?

Tak jak uczymy dziecko różnych umiejętności życiowych – żeby umiało dbać o higienę i wygląd, gospodarować pieniędzmi, przekonujemy je, że wiedza i wykształcenie bardzo pomagają w życiu, tak samo trzeba nauczyć dziecko wdzięczności, miłości, czułości, empatii, dobroci, zachwytu – wszystkich tych uczuć wyższych, bez których człowiek nie rozwinie się duchowo. Rozwój duchowy to, oczywiście, wartość sama w sobie, ale może warto dodać, że szczęścia doznajemy za pomocą nie zmysłów, ale właśnie duszy.

Jeżeli więc rodzice nie wezmą na warsztat troski o rozwój duchowy dziecka, ryzykują, że ono samo się tego nie nauczy. Albo nauczy się źle, weźmie wzór nie od mądrej mamy, babci, nauczyciela czy duszpasterza, tylko na przykład z telewizji. Jeśli wychowywać je będą niemądre seriale, to zdrada, piąta żona, mściwość etc. będą dla niego czymś naturalnym.

Oczywiście, nawet jeśli rodzice zaniedbają troskę o ten duchowy wymiar dziecka, ono może mieć szczęście i przypadkowo się tego w życiu nauczyć, bo trafi na przykład na mądrą panią w przedszkolu. Ona będzie miała serce wielkie jak Pałac Kultury i te „swoje” dzieci obdarzy szacunkiem, podziwem, zachwytem. Od niej dzieci uczyć się będą zachwytu, podziwu, wzruszenia, radości. I mimo że mama gnom i tata gnom, dziecko odbije się od trampoliny. Szczęścia można się więc nauczyć, ale trzeba mieć wzór, bo dzieci uczą się nie przez to, co im mówimy, ale poprzez to, co robimy, jak żyjemy., „Szczęśliwi rodzice wychowują szczęśliwe dzieci” – napisał w którejś ze swoich książek Wojciech Eichelberger.

Co jednak mają zrobić rodzice, którzy nie byli wychowani przez szczęśliwych rodziców i sami też nie bardzo potrafią być szczęśliwi. Czy oni nie mają szansy wychować swoich dzieci do szczęścia?

Jeszcze raz powtórzę: człowiek tym się różni od wszystkich żywych istot, że może przekraczać siebie. Jestem od lat zaangażowana w terapię osób uzależnionych. W swojej pracy nad wyjściem z nałogu (tzw. Dwanaście Kroków) anonimowi alkoholicy odwołują się do pięknej modlitwy przypisywanej Reinholdowi Niebuhrowi, która brzmi: „Boże, użyż mi pogody ducha, abym godził się z tym, czego nie mogę zmienić, odwagi, abym zmieniał to, co zmienić mogę i mądrości, abym odróżniał jedno od drugiego”.

W terapii uzależnionych nie ma wprowadzie mowy o szczęściu, ale „pogoda ducha”, na którą powołuje się Niebuhr, jest najlepszą ze znanych mi dróg stwarzających człowiekowi szansę na szczęśliwe życie. Oczywiście, o tę pogodę ducha szczególnie trudno osobom, które czują się nieszczęśliwe.

Pogoda ducha ma bowiem swoje źródło w akceptacji. To właśnie akceptacja jest sposobem na dojrzałe spotkanie z życiem. Zaakceptować, że mi się dziecko, „nie udało”, że ojciec nie kochał mnie tak, jak tego potrzebowałam, że mąż mnie zawiódł, że nie zrobiłam habilitacji, bo byłam za mało pracowita albo zabrakło mi zdolności...

Mogę oczywiście stać do swojego życia tyłem i upierać się: nie, nie mam sześćdziesięciu lat, tylko pięćdziesiąt, nie zostałam lekarzem, bo miałam złego fizyka w liceum... Mogę się oszukiwać, ale to prędzej czy później da o sobie znać albo depresją, albo złością, albo jakąś ucieczką – w alkohol, narkotyki... Pogoda ducha, czyli pogodzenie się ze swoim losem, z samym sobą – to najwyższy stopień dojrzałości emocjonalnej. Człowiek dojrzały emocjonalnie może przekraczać różne swoje deficyty i ograniczenia.

Ale kłopot w tym, że trudno wymagać dojrzałości od człowieka, który, chociaż dorosły, nie jest dojrzały...

Ta zdolność człowieka do budowania w sobie potencjału emocjonalnego, uczuć, które sprzyjają pogodzie ducha i akceptacji, to efekt wyłącznie pracy na sobą. Oczywiście, dla niektórych ludzi praca ta będzie żmudna

i mozolna – będą musieli odwrócić wiele nawyków, także emocjonalnych, bo ludzie przyzwyczajają się także do tego, co czują.

Jeżeli ktoś na przykład miał matkę choleryczkę, to prawdopodobnie sam będzie albo zalękniony i będzie się bał każdego podniesionego głosu, albo z kolei będzie się wydzierał. Jak ktoś wychowywał się w domu, w którym niemal na każde życiowe wyzwanie reagowano lękiem – trudno mu będzie uwierzyć we własne możliwości. Ludzie bywają przywiązani do swojego cierpienia. Wyjście z cierpienia wymaga ciężkiej pracy.

I chyba też odwagi, bo trzeba stanąć w prawdzie o sobie.

O tak! W przywołanej wyżej modlitwie modlimy się także o odwagę. Ona jest niezbędna, bo konieczną częścią pracy nad sobą musi być spotkanie twarzą w twarz ze swoimi emocjami. A skoro są to emocje osób mocno doświadczonych przez los, czy na przykład żyjących w bolesnym poczuciu niespełnienia, to trzeba się przygotować, że te emocje będą niczym nieokiełznana sfora dzikich bestii.

Tym razem mają jednak zostać uwolnione nie po to, żeby kąsać, ale w celu ich oswojenia. To może trwać długo, a nawet bardzo długo, ale warto się trudzić, bo nie tylko poprowadzi nas to ku akceptacji swego losu, ale też pozwoli wyjść poza siebie, odnaleźć – zagubioną być może – empatię. To ona sprawia, że chcemy i potrafimy bardziej być dla innych i z innymi.

Empatię ma już noworodek, bo kiedy słyszy, że inne dziecko płacze, też zaczyna płakać. Dorastając w niesprzyjających warunkach możemy ją zagubić. Jesteśmy jednak częścią całości, współdczuwamy z innymi i współczujemy innym – to bycie ku innym i dla innych, a nie tylko ku sobie, wpisane jest w ludzką naturę.

Relacje z innymi stanowią treść naszego życia duchowego. Bez nich także osiągnięcie szczęścia wydaje się niemożliwe. Taką sugestię znajdujemy również w Kazaniu na górze. Błogosławieni, czyli szczęśliwi – to współczujący, płaczący z płaczącymi, miłosierni, ci którzy przebaczą, niosą pokój... Szczęście płynie z tego, że potrafimy być z innymi i dla innych.

Duchowy wymiar mojego życia znajduje wyraz w moich relacjach z drugim człowiekiem, z Bogiem, ze światem. Mogę kochać muzykę i ona może napełniać mnie autentyczną radością, ale miłość do sztuki nie czyni ze mnie człowieka duchowego.

Stalin też kochał muzykę, a nawet pięknie śpiewał. Kultura jest bezosobowa – może być piękna, ale też zbrodnicza. Miłość do sztuki nie musi – chociaż czasem pewnie może – wyprowadzać mnie z mojego egoizmu, może być miłością do mojego własnego wzruszenia. „Materiałem” nieodzownym do szczęścia są takie uczucia, które łączą, a nie dzielą, pomagają, a nie szkodzą, otwierają na innych, a nie prowadzą do koncentracji na samym sobie.

Samotność, brak emocjonalnych więzi z drugim człowiekiem, brak przyjaciół to jedna z największych udręk. Jeśli więc mówimy o wychowywaniu do szczęścia, to trzeba jasno powiedzieć, że to się może dokonać tylko poprzez głęboką relację z drugą osobą.

A relacja nie może zaistnieć bez bycia razem. To nie zawsze musi być fizyczna obecność, chociaż ta jest niezbędna. Jeśli jednak z jakichś powodów jest niemożliwa, można ją czasowo zastąpić listami, rozmowami telefonicznymi. Bliskość oznacza wzajemne uczestnictwo bliskich sobie osób nie tylko w ich zewnętrznym, ale też wewnętrznym życiu.

Zaniedbania w budowaniu i pielęgnowaniu relacji bywają tragiczne w skutkach...

Nie rozmawiamy ze sobą, ukrywamy swoje emocje, opancerzamy się w różnych maskach. Polak musi się upić, żeby poczuć się swobodniej, żeby zdjąć maskę. Nawet dzieci się upijają. W tym upijaniu się Polaków znajduje zastępcze ujęcie ta skumulowana emocjonalność, która nie ma dostępu do naszego normalnego stylu życia.

Emocje to najbardziej zaniedbana sfera w XXI wieku. Bywamy wobec nich przeraźliwie bezradni. A przecież istnieją bardzo proste sposoby, żeby je zagospodarować. Założenia akcji „Cała Polska czyta dzieciom” były bardzo proste – chodziło o poświęcenie dwudziestu minut dziennie na czytanie dziecku. Warunek, że to nie samo dziecko będzie sobie czytać. To za mało. Ważne, żeby

rodzic czytał razem z dzieckiem. Chodzi o wspólnie spędzony czas, o wspólne przeżycia.

To jeden z fantastycznych sposobów na to, żeby uśpione czy zaniedbane emocje troszeczkę pobudzić, żeby nauczyć się je wyrażać i rozpoznawać. Dzięki temu mamy szansę na większy wgląd w siebie.

Wgląd w siebie, akceptacja swojego losu – wszystko to przywodzi na myśl starożytną zasadę wypisaną na świątyni w Delfach: *gnothi se auton* (poznaj samego siebie), wedle której tylko życie w prawdzie może być życiem szczęśliwe. Tymczasem kultura masowa pod maską prawd służących właśnie naszemu szczęściu podsuwa nam różne recepty na szczęście. Jak oceniłaby Pani te tak pleniące się podręczniki, poradniki w rodzaju: jak wychować szczęśliwe dziecko, jak odnieść sukces w pracy, recepta na udany związek etc...?

W podpowiedziach: bądź szczęśliwy, odnieś sukces, zbuduj dobrą rodzinę, naucz się czegoś – nie upatruję żadnego zagrożenia. Moim zdaniem książki, o których Państwo wspomnieli, szkody nie przynoszą, chociaż są bezsprzecznie elementem kultury masowej. Jednak inne składniki tej kultury – różne „zabawiacze”, „odwracacze uwagi”, fałszywe obietnice – z całą pewnością szkodzą.

O ile książkę, która mówi: w siedem dni odniesiesz sukces, mogę bardzo szybko zweryfikować – po prostu sprawdzam, czy zawarte w niej podpowiedzi działają, a jeśli nie, to wyrzucam ją do kosza – o tyle produkty

masowej kultury, takie jak harlequiny, seriale telewizyjne, teleturnieje etc., zaśmiecają moją wrażliwość, wypaczają poczucie smaku, manipulują moimi emocjami.

Bóg dał nam wprawdzie płyty czołowe mózgu, byśmy rozróżniali i selekcjonowali, co jest wartościowe, a co głupie, ale tego rozróżniania trzeba się nauczyć. Dziecko nie ma do tego instrumentów, ma za to rodziców, nauczycieli, duszpasterzy – nauczyć dziecko rozróżniania między tym, co mądre, a tym, co głupie, to ich zadanie.

Problem więc nie w kulturze masowej, ale w braku przewodników. Rozpaczliwie niewielu rodziców, nauczycieli i duszpasterzy ma odpowiednie kwalifikacje, żeby być dla dziecka czy młodego człowieka życiowym przewodnikiem. I znowu wracamy do początku, czyli do pracy nad sobą, której efektem będzie zyskiwanie dojrzałości.

Wracając do szczęścia, które próbujemy tu rozszyfrować – dojrzały człowiek rozumie również i to, że szczęście jest jak motyl, który czasem przysiada nam na ramieniu, jak tęcza, która się pojawia, ale nie trwa bez końca.

Szczęście nie jest bowiem czymś, co mamy na stałe, jest raczej umiejętnością rozpoznawania go, kiedy nam się przydarza. Jeśli posiadzimy tę umiejętność, to nie będziemy już za szczęściem gonić – będziemy go wypatrywać.

Tak więc do wszystkiego – do mądrości, także do szczęścia, trzeba dorosnąć...

Kiedy mówimy o szczęściu, to trzeba sobie uświadomić, że jest ono ucieleśnieniem dojrzałości emocjonalnej. Jeśli jej brak, to do szczęścia strasznie daleka droga. Bywają ludzie obrażeni na życie – skarżą się, że ich szczęście ominęło, owszem, dostrzegają je czasem u innych, ale nigdy u siebie.

A szczęście to postawa ku życiu. Albo człowiek do tego dorasta, albo nie dorasta. To jednak zależy już od nas samych. Szczęście rodzi się z pracy nad sobą. To jest trening taki sam jak trening mięśni – jeżeli będziemy je odpowiednio ćwiczyć, to one będą nam służyć, w przeciwnym razie ulegają atrofii.

Uczenie się szczęścia – raz jeszcze powtórzę – polega na rozwoju emocjonalnym i duchowym. A taki rozwój dostępny jest nie tylko nielicznym osobom wtajemniczonym, ale każdemu z nas.



| Temat numeru

Wojciech Marczewski: Szczęście jest jak lekkie dotknięcie pędzla

Damian Jankowski

Gdybym znowu miał dwadzieścia lat, pewnie sumiennie studiowałbym filozofię, a nie zaledwie przez trzy semestry. Nie wiem tylko, czy to by mi pomogło. Urok życia polega na tym, że pytania nie znikają, a raczej się mnożą – mówi Wojciech Marczewski w książce „Świat przyspiesza, ja zwalniam”.

Damian Jankowski: Niedawno miał pan urodziny. Siedemdziesiąt siedem lat – to dużo czy mało?

Wojciech Marczewski: Znośnie. Nie odczuwam fizycznych ograniczeń związanych z wiekiem. Może poza tym, że po godzinie dwudziestej drugiej potrafię czuć się zmęczony, ale nie jest to powód do skargi.

Mam natomiast poczucie, i ono nasila się z biegiem lat, że wielu rzeczy nie zdążyłem zrobić, bo wydawało mi się, że „jest jeszcze czas”: wielu książek nie przeczytałem, wielu egzystencjalnych problemów nie zgłębiłem. Gdybym znowu miał dwadzieścia lat, pewnie sumiennie studio- wałbym filozofię, a nie zaledwie przez trzy semestry. Nie wiem tylko, czy to by mi pomogło. Urok życia polega na tym, że pytania nie znikają, a raczej się mnożą.

Z wiekiem nie jest łatwiej?

– Z wiekiem, panie Damianie, człowiek odkrywa, że Sokratejskie „wiem, że nic nie wiem” to nie błyskotliwa formuła, tylko szczerą prawdą, wobec której musimy pozostać bezradni. W kulturze europejskiej funkcjonuje jeszcze obraz starca, co to „wie więcej”, do którego ludzie zwracali się po rady, po mądrość. Kiedy jednak sam przekroczyłem próg, za którym można powiedzieć, że jestem stary, nieco się temu dziwię – skąd ci starcy znali odpowiedzi? Ja nie znam.

Przyznaję, że ostatnio więcej staram się znajdować czasu na refleksję. Ale i na zachwyt pięknem, jedno z drugim jest połączone. Niedawno dostałem od zaprzyjaźnionej

osoby rzeźbę „Myśliciel” Rodina, kopię oczywiście. Czuję, że staje mi się ona coraz bliższa, że przestaje być tylko interesującym obiektem, a zaczyna wrastać w moją codzienność. Potrafię zejść na dół domu, usiąść na schodach i przez dłuższą chwilę przyglądać się jej, tak po prostu.

A nie myśli pan o emeryturze?

– Nie, absolutnie nie! Życie rentiera byłoby dla mnie czymś rozpaczliwym. Miałem dobrego nauczyciela witalności w osobie Andrzeja Wajdy, który wyraźnie ignorował czas. Pamiętam, kiedy świętowaliśmy jego osiemdziesiąte ósme urodziny, powiedział: „Słuchaj, Wojtek, ósemka to nieskończoność, u mnie teraz podwójna nieskończoność, jeszcze jest trochę czasu...”. Miał do samego końca wiele aktywności, kręcił filmy, udzielał się w Szkole, otwierał wystawy, brał udział w dyskusjach. Gdy przychodził prowadzić zajęcia, zawsze był gruntownie przygotowany, wcześniej przeczytał wszystkie potrzebne teksty, zrobił notatki. Nigdy się też nie zdarzyło, by mi powiedział w sprawach związanych ze Szkołą: „Nie mam czasu”. Zawsze miał, do samego końca, nawet gdy pochłaniała go realizacja filmu.

Andrzej bardzo lubił przebywać z ludźmi, pracować wśród nich. Tego trochę mu zazdrościłem. Sam jednak uciekam w odosobnienie, jak panu już mówiłem. Od dzieciństwa do dzisiaj miewam takie okresy, gdy potrzebuję się wyłączyć, pobyć sam ze sobą. Mam to szczęście, że najbliżsi dobrze mnie rozumieją, ta moja potrzeba odcinania się od świata

nie stanowi dla nich problemu. Żona – i tylko ona – zawsze wie, gdzie jestem.

Kiedys przyznałem się Wiktorowi Osiatyńskiemu: „Wiesz, świat przyspiesza, a ja zwalniam”. Tak rzeczywiście jest.

Nabiera pan wtedy dystansu?

– W pewnym sensie – dystansu, spokojnego oglądu, wyciszenia. Wyraźnie czuję, że – jak diagnozowała Olga Tokarczuk – „świata jest za dużo”, że gubię się w mnogości informacji, bodźców, wrażeń, że potrzebuję wówczas „tlenu”, czyli samotności.

[...] A jak pan sobie radzi ze świadomością, że żyjąc, tracimy życie? Nie boi się pan śmierci?

– Wie pan, łapię się na tym, że paradoksalnie kiedyś, w młodości, bardziej się jej obawiałem niż obecnie. Następuje we mnie pewnego rodzaju pogodzenie z losem, wynikające z mojego częstszego obcowania z naturą, z jej potęgą i ciszą.

Jeśli mógłbym wybrać, nie chciałbym się długo męczyć i umierać latami, jak moja Mama, która na koniec wyznała szeptem, że jest bardzo zmęczona i chciałaby już odejść. Zapewniałem ją, że wszystko będzie dobrze, nie wiem nawet, czy sam w to wtedy wierzyłem, chyba nie. Dziś rozumiem Mamę. Wolałbym, żeby śmierć mnie zabrała nagle, jak Ojca. O tak, boję się fizycznego bólu w końcówce życia, chciałbym prosić o szybką śmierć, tylko nie bardzo wiem, do kogo kierować prośby...

Jak pan myśli: na koniec – mówiąc za Iwaszkiewiczem – przyjmie nas na swoje łono nicość czy Bóg?

– [*chwila milczenia*] Wydaje mi się, że nicość, ale nie jest to aż tak straszna perspektywa. Życie będzie się toczyło nadal i bez nas, ono ostatecznie zawsze zwycięża, przychodzą kolejne pokolenia i ten świat jakoś trwa. Jak to wyraził Iwaszkiewicz w wierszu do prawnuczki: „świat będzie zawsze piękny, Ludko, i beze mnie”. Taka kolej rzeczy.

Opowiadałem panu o Jerzym Mierzejewskim, dawnym dziekanie reżyserii w szkole filmowej w Łodzi. Gdy był już ciężko chory i nie wstawał z łóżka, odwiedzał go Andrzej Wajda, mieszkał niedaleko. Zapytał go raz: „Jak tam, Jerzy? Zajrzałeś już tam, na drugą stronę?”. I usłyszał, po dłuższej chwili milczenia: „Wiesz, nie ma się do czego śpieszyć...”. Może faktycznie nie ma.

Zresztą nie czuję wcale stuprocentowej pewności co do wyboru jednej z dwóch możliwości z tej opozycji Iwaszkiewicza, raczej składałam się z samych wątpliwości. Pan, panie Damianie, jest chrześcijaninem, prawda?

Tak, choć muszę przyznać, że Bóg to dla mnie często bardziej pytanie niż odpowiedź...

– Wie pan, że w pewnym sensie moglibyśmy się w tym punkcie spotkać? Chciałbym powiedzieć, że jestem ateistą i racjonalistą, ale nie potrafię, to zbyt proste samo-określenie, byłby w nim fałsz. Czysto materialistyczne patrzenie na świat, na ludzi, na przyrodę nie wystarcza

mi. Nieprzypadkowo w „Zmorach” nastoletni Mikołaj wypowiada słowa: „Zła jawa to bezsenna trwoga i gdyby tylko ona i nic więcej, to nie warto by żyć”.

Życie rozumiane jako tajemnica elektryzuje mnie i męczy, każe mi nieustannie stawiać pytania. Uznaję, że dociekanie, co oznaczają życie, świat, Bóg, wiara, goni za mną od dzieciństwa i będzie mi towarzyszyło do samego końca.

Pozostajemy jeszcze przy Iwaszkiewicz. Jest taki bardzo mi bliski cytat z „Sérénité”: „I pomyśleć, że pomimo tylu zachwyków, tylu cierpień, tylu śmiałych myśli, tylu mądrych słów – ta gwiazda zaranna nad moją głową na zawsze będzie dla mnie czymś niezrozumiałym”.

– No tak, takie ogólnie jest życie, nie tylko moje: biegniemy w nim, najpierw szukając jak najwięcej wrażeń i doznań, kieruje nami *eros*, a potem pędzimy, żeby coś zrozumieć, by dowiedzieć się, po co to wszystko, a i tak ostatecznie wszystkiego nie zrozumiemy. Samych siebie w pełni nie znamy, a chcemy poznać – zabrzmi to szumnie – sens istnienia?

[...]

Zacząłem od pytania o pańskie siedemdziesiąte siódme urodziny. Teraz przypomniał mi się wiersz Tadeusza Różewicza „dwie siekierki”. Poeta siedzi z ojcem, piją wódkę z okazji jego siedemdziesiątych siódmych urodzin właśnie. W pewnym momencie pada pytanie: „Tato, powiedz mi, czy warto jest żyć?”. „Pewnie, że

warto!” – odpowiada ojciec. I jeszcze spogląda na syna: „Co z tobą... Tadiu!...”.

– Odpowiedziałbym tak samo: pewnie, że warto żyć. Życie, panie Damianie, jest piękne. Żeby to jednak dostrzec, trzeba się czasem wysilić. Trochę jak ze spacerem po lesie, kiedy unosi się mgła. Dobrze jest się wtedy zatrzymać, wyteńczyć zmysły, by zobaczyć jej urok, ale i coś poza nią. Może chwilę poczekać, aż opadnie.

Nie oznacza to wcale, że mamy negować ciemną stronę rzeczywistości, ból i cierpienie, których w życiu nie da się uniknąć.

Wspomniany już przez nas kilkakrotnie prof. Marcin Król notował: „Cierpienie jest rzeczywiste i jest częścią naszego losu. Dlatego też unikanie cierpienia jest całkowicie zrozumiałe. Niezrozumiałe są dwie rzeczy: nadzieja, że się uda uciec poza cierpienie, i nadzieja, że stopniowo będziemy mogli o nim zapomnieć”. To niepopularne słowa, żyjemy raczej w hedonistycznej kulturze.

– No cóż, przyjemność i sukces są w życiu ważne, każdy ich potrzebuje. Zbyt długie wakacje nad morzem mogą jednak człowieka zmęczyć, wielogodzinne przebywanie na słońcu jest w dodatku najzwyczajniej niezdrowe.

W życiu twórcy na przykład ważne są porażki. Zatrzymują go one w biegu, napędzonym przez wcześniejsze uznanie czy nagrody, pozwalają zrobić krok wstecz, nabrać nieco dystansu. Niebezpieczne byłoby uwierzyć, że jest się

genialnym artystą. Takim artystą – jak już chyba wspomnieliśmy – najwyżej się bywa...

A szczęśliwym: jest się – czy się bywa?

– Raczej się bywa i najczęściej człowiek nie ma pełnej świadomości, że doświadcza właśnie takiego momentu. Szczęście jest jak lekkie dotknięcie pędzla.

Luty-kwiecień 2021

*Fragment książki „Świat przyspiesza, ja zwalniam”,
która ukazała się nakładem Wydawnictwa „Więź”.*

Tytuł od redakcji

WIEŻ**POD
CAS
TY****DAMIAN
JANKOWSKI**
Oddech kultury**|** Podcast

Szczere „nie wiem” jest bardzo twórcze

Rozmawiają Julia Fiedorczuk i Damian Jankowski

Czy da się funkcjonować bez poczucia straty? W jaki sposób poezja może stanowić schron? I czy to źle, że żyjąc, nie potrafimy uciec od świata? W nowym odcinku podcastu „Oddech kultury” Damian Jankowski rozmawia z poetką Julią Fiedorczuk.

Nagranie można odsłuchać pod tym adresem



| Kościół

Winny – całkowicie i wyłącznie – jest dorosły. Mój apel do biskupów

Robert Fidura

Apeluję do biskupa Andrzeja Jeża o złożenie rezygnacji. oraz do tych biskupów, którzy z „tarnowskim” podejściem się nie zgadzają: pokażcie, że do problemu zadośćuczynień można podejść w inny sposób.

Ten kawałek mojej duszy, którego nie zamordowali moi oprawcy, nie pozwala mi milczeć po informacjach o tym, jak biskup tarnowski – piórem wynajętego

prawnika – potraktował nieumarłych ze swojej diecezji, starających się o odszkodowanie za krzywdy wyrządzone im przez duchownego (dziś: wydalonego z kapłaństwa), gdy byli jeszcze dziećmi.

Jak informuje Onet, adwokat diecezji tarnowskiej napisał w odpowiedzi na pozew, że „nie sposób oprzeć się wrażeniu, iż kwestie związane z powtarzalnością takich zachowań księdza W., ich częstotliwością oraz czasookresem, w którym były podejmowane, są jednak powiązane z reakcjami i działaniami powodów”. Jego zdaniem „z analizy zeznań powodów oraz innych osób przesłuchiowanych [...] można wyprowadzić wnioski, że powodowie [czyli osoby wykorzystywane seksualnie jako dzieci, które teraz pozwały kurię – RF] akceptowali zachowania księdza Mariana W. wobec nich”. Pełnomocnik kurii domaga się także, by to pokrzywdzeni wpłacili na rzecz diecezji zwrot kosztów postępowania sądowego.

Problem jest tym większy, że w skali Polski nie po raz pierwszy doszło do tego rodzaju skandalu. Słowo „skandal” nie jest zresztą adekwatne do poczynań prawników, którzy – oficjalnie występując w imieniu podmiotów kościelnych – usiłują czynić osoby wykorzystane seksualnie przez duchownych współodpowiedzialnymi za to, co się stało albo przedstawiać je jako wrogów Kościoła. A wszystko oczywiście po prostu w celu uniknięcia płacenia zadośćuczynienia...

Do podobnych zdarzeń doszło w sprawie z diecezji bielsko-żywieckiej (pełnomocniczka kurii chciała sprawdzać orientację seksualną mężczyzny wielokrotnie wykorzystywanego od 12 roku życia), sandomierskiej (adwokat występujący w imieniu diecezji chciał dopytywać o orientację seksualną pokrzywdzonego, który w chwili krzywdy miał 12 lat). W każdym z tych przypadków doszło do czegoś, co nigdy nie powinno się wydarzyć. Użyto argumentów, które w cywilizowanym świecie są nie do pomyślenia.

W nieco innej sprawie gorzko komentował Zbigniew Nosowski: „do reprezentowania instytucji kościelnych w sądach – zwłaszcza, gdy chodzi o pieniądze – nie trzeba kwalifikacji moralnych, wystarczą buta i bezczelność” (tu akurat chodziło o słowa adwokata diecezji kaliskiej, który w sądzie stwierdził pod adresem Jakuba Pankowiaka: „Widzę, że pan ma misję walki z Kościołem”).

W takich sprawach przedstawiciele instytucji kościelnych usiłują przerzucić na dzieci – na ofiary, na nieumarłych – winę za to, co się stało, a przynajmniej jej część. Po raz kolejny przychodzi nam mierzyć się z dziedzictwem mentalności abp. Józefa Michalika, który – będąc w 2013 r. przewodniczącym Konferencji Episkopatu Polski – wyrażał przekonanie, że dziecko „lgnie, ono szuka. I zagubi się samo i jeszcze tego drugiego człowieka wciąga”.

W rzeczywistości zaś w takiej sytuacji mamy do czynienia z klasycznym wykorzystaniem sytuacji zależności

i przemocą – psychiczną, duchową, fizyczną, seksualną – ze strony człowieka dorosłego wobec dziecka. Kto zatem ponosi tu odpowiedzialność? Niedojrzały czy ten dojrzały? Ten, który rozumie, co się dzieje, czy ten, który nie ma na ten temat żadnej wiedzy, bo dopiero wchodzi w czas dojrzewania?

To oczywiście pytania retoryczne. W takich przypadkach nie może być wątpliwości, sytuacja jest zerojedynkowa. Winny – całkowicie i wyłącznie – jest dorosły. Dziecko jest zaś niewinne, nawet jeśli wpadnie na jakiś głupi pomysł. I nie zapraszam w tej kwestii do dyskusji, nie ma o czym. Wiedza na ten temat jest praktycznie powszechna, dostęp do niej nie jest ograniczony dla psychologów czy innych fachowców.

Co zaś robią (przynajmniej niektórzy, ale jednak nie tylko jeden) biskupi? Wynajmują prawników. Samo w sobie jest to normalne. Skoro ma odbyć się sądowy proces cywilny, a biskup nie zna się na prawie świeckim, to korzysta z zastępstwa procesowego. To samo robią osoby domagające się zadośćuczynienia czy odszkodowania i tu też nie ma nic nadzwyczajnego. Strony przedstawiają swoje racje, sąd wyrokuje. Niby jasne to i proste...

Ale jednak w świadomości niektórych prawników istnieje przeświadczenie, że na czas procesu obowiązują wyłącznie argumenty prawne, zaś sumienie, moralność czy empatia ulegają zawieszeniu. W imię obrony interesu pozwanej instytucji wolno wszystko, byle tylko zadowolić swojego

mandanta. W piśmie prawników diecezji tarnowskiej mamy tego dobitny przykład.

Czy aby na pewno tak wolno? Czy kilkuletnie dziecko ma jasno określoną orientację seksualną? Czy ma znaczenie, że któreś z dzieci chodziło na jabłka do sadu sąsiada? To, co wysmażyli prawnicy tarnowscy – trzeba przyjąć, że za wiedzą i zgodą biskupa, bo diecezja do tej pory nie wycofała im pełnomocnictwa – przeczy nauce. Przeczy ustaleniom psychologów, seksuologów i wiktymologów. To nawet nie naplucie w twarz powodom, to cios nożem w serce. Nie przesadzam, skądinąd wiadomo, że w tej sprawie już jest co najmniej jedna ofiara samobójstwa.

Po doświadczeniu dnia przysłała dla mnie znowu mroczna noc. Pochmurna, bez odrobiny światła. Po spotkaniu pokrzywdzonych z biskupami na Jasnej Górze, będącym promykiem nadziei w pochmurny dzień, zapadła całkowita ciemność. Dzisiaj muszę mierzyć się z kierowanymi do mnie komentarzami: „I po co ci to było? Oni się nie zmieniają. Tylko kasa się liczy”, „Dalej masz zamiar wspierać chciwy episkopat?”, „Jak się czujesz jako sprzymierzeniec i obrońca kryjących pedofilię?”.

Ano czuję się paskudnie, bo choć z jednej strony wiem, że taka postawa jest wyjątkiem, to jednak jestem realistą. Wiem zatem, że tam, gdzie chodzi o pieniądze, będą kolejne podobne sytuacje. Blask złota oślepia, odbiera niektórym sumienie i rozum. Priorytetem niejednokrotnie jeszcze okaże się nie ewangeliczne „jedni drugich brzemiona noście”, lecz debet i saldo, rachunek zysków i strat.

Jak już zapowiedział publicznie ks. Piotr Studnicki – kończący swą misję kierownika Biura Delegata KEP ds. Ochrony Dzieci i Młodzieży – wśród osób zaangażowanych w przygotowanie spotkania inicjatorów listu otwartego skrzywdzonych z episkopatem powstaje wspólny list do biskupa tarnowskiego. Będę pod nim podpisany, tu jednak chcę także zabrać głos indywidualnie, by przypomnieć to, o czym piszę i mówię od wielu lat: że jest alternatywne rozwiązanie – tyle że w Polsce nie przyjęło się korzystanie z doświadczeń innych.

A wystarczy chcieć uczyć się od episkopatów zachodnich. Tam możliwe było to, co nasi biskupi uważają za niemożliwe – uzgodnienie przez konferencję episkopatu dobrowolnych wypłat odszkodowań na zasadzie ugody (zob. np. wariant niemiecki). Tam potrafiono wypracować odpowiednie procedury, powołać specjalne komisje i znaleźć rozwiązanie.

W Polsce instytucjonalnie nawet się o tym nie myśli, wciąż obowiązuje w diecezjach nieszczęсна – i jakże dokrzywdzająca – zasada, że pełna odpowiedzialność karna i cywilna spoczywa wyłącznie na bezpośrednim sprawcy. A przecież występował on wobec tych, których krzywdził, jako przedstawiciel Kościoła... Zmusza to osoby pokrzywdzone do prowadzenia długich procesów cywilnych. Skoro nie ma rozwiązań systemowych, to każda sprawa musi być rozpatrywana indywidualnie.

Pojawiają się, co prawda, pierwsze jaskółki w wypowiedziach niektórych biskupów. Na przykład niedawno

bp Artur Ważny tak odpowiedział na pytanie o odszkodowania w diecezji sosnowieckiej: „Zadośćuczynienie na pewno jest bardzo ważnym elementem. To bardziej pytanie o jego formę. W końcu każdy ma inne oczekiwania. [...] Na pewno należałoby do tego problemu podejść systemowo”. To jest właśnie droga Kościoła, droga Ewangelii, droga miłości.

A na koniec mam dwa apele. Pierwszy – bezpośrednio do biskupa diecezji tarnowskiej Andrzeja Jeża: jeśli chce ksiądz zachować przynajmniej twarz, to proszę w trybie natychmiastowym złożyć rezygnację z pełnionej funkcji.

A drugi – do tych biskupów, którzy (słyszałem to od nich na własne uszy) z „tarnowskim” podejściem się nie zgadzają. Skoro tak, to skorzystajcie z władzy przysługującej Wam w Waszych diecezjach i pokażcie, że do problemu zadośćuczynień można podejść w inny sposób.



| Polska

IPN – wspólny czy partyjny?

Sebastian Adamkiewicz

W swoim przemówieniu Karol Nawrocki podkreślał potrzebę powrotu do standardów cywilizacyjnych. Trudno za taki uznać włączanie instytucji publicznej do kampanii wyborczej.

W niedzielne popołudnie wyjaśniło się kto będzie kandydatem Prawa i Sprawiedliwości w zbliżających się wyborach prezydenckich. Formalnie oczywiście Karol Nawrocki, prezes IPN, został przedstawiony jako „kandydat obywatelski”, natomiast dla obserwatorów

życia publicznego nie jest tajemnicą, że wybraną formułę można traktować wyłącznie w kategoriach chwytu marketingowego. Może ona mieć także wymiar czysto praktyczny.

Karol Nawrocki, zgodnie z ustawą o Instytucie Pamięci Narodowej, nie może być członkiem partii politycznej ani związku zawodowego. Co ciekawe, nie oznacza to wymogu apolityczności, który nigdzie *expressis verbis* zapisany nie jest. Start z ramienia partii mógłby być – wątpliwe co prawda – podstawą do kwestionowania legalności sprawowania funkcji prezesa.

Kwestia prezesury w IPN podnoszona jest zresztą od momentu, kiedy Nawrocki pojawił się w gronie potencjalnych kandydatów. Trzy tygodnie temu zapytany został przez Roberta Mazurka o to, czy prezydenckie ambicje nie powinny łączyć się z rezygnacją ze stanowiska prezesa instytucji. Zręcznie pominął ten temat, choć jednocześnie zasłonił się prezesurą w związku z pytaniem o stanowisko wobec planowanej ustawy o związkach partnerskich. We wspomnianym wywiadzie unikał polityczności, deklarując, że jeśli wystartuje, to jako kandydat tzw. obozu patriotycznego, a nie partii jako takiej, aby – podobnie jak formalnie prezes IPN – „reprezentować wszystkich Polaków”.

Stosowany unik – a jako osoba, która trenowała w swoim życiu boks, Nawrocki zna wagę uników – osłabić ma argument konfliktu interesów pomiędzy byciem partyjnym kandydatem na urząd prezydenta, a pełnieniem

funkcji zarządczej w instytucji publicznej, która z założenia powinna być wolna od związków z polityką.

Sęk w tym, że krótko po ogłoszeniu kandydatury Nawrockiego na profilach Instytutu Pamięi Narodowej w mediach społecznościowych pojawił się długi wpis, któremu trudno przypisać wyłącznie cechy suchej informacji o zaistniałym fakcie. Stosowane tam chwytły retoryczne, akty strzeliste i przekaz są czysto kampanijne.

Dzień później post udostępniały także oddziały terenowe IPN i to pomimo tego, że pierwotny post spotkał się z mieszanymi uczuciami odbiorców. Obok wielu entuzjastycznych reakcji, pojawiły się też opinie krytyczne, wygłaszane nie tylko przez polityków, ale także zwykłych użytkowników. W istocie użycie mediów społecznościowych – bądź co bądź – instytucji publicznej wydaje się dużym nadużyciem, zwłaszcza w kontekście deklarowanej wielokrotnie na inauguracyjnym wiecu chęci zakończenia wojny polsko-polskiej.

Wspieranie jakiegokolwiek kandydata nie należy przecież do zadań statutowych IPN, nie jest przewidziane ustawą, a obowiązujące prawo wyborcze w swoim duchu zwraca uwagę na konieczność zachowania przez urzędy państwowe bezstronności w sytuacji wyborczej. Tymczasem prowadzący sociale Instytutu postanowili złamać tę niepisaną zasadę i wesprzeć konkretnego kandydata. Ten zaś formalnie nie zawiesił swojej prezesury na czas kampanii, ani nie zapowiedział chociażby udania się na urlop.

Choć sprawa wzbudziła chwilowe kontrowersje, w rzeczywistości szybko zeszła z głównego frontu zainteresowań. Szkoda, bo w moim przekonaniu rodzi daleko idące konsekwencje nie tylko dla kampanii, ale postrzegania państwa jako takiego. Instytucje państwowe – a taką jest IPN – stanowią coś, co w krajach anglosaskich nazywamy „state”. Ich zadania są znacznie szersze niż tylko wypełnianie funkcji administracyjnych. Można powiedzieć, że są wyrazicielem uniwersalnego charakteru państwa. Ich apolityczność służyć ma temu, by każdy obywatel, niezależnie od wyznawanego światopoglądu, mógł się z państwem identyfikować.

Dobrze rozumiana apolityczność nie powinna oczywiście oznaczać bierności czy wycofania z uczestnictwa w dyskursie publicznym. Instytucje istnieją przecież także po to, aby reprezentować obywateli, a czasem bronić ich interesów w dziedzinach, którymi ta instytucja się zajmuje. Instytucje publiczne pełnią więc ważną rolę w systemie kontroli władzy i ograniczaniu jej wszechwładności. Milcząca zgoda i pokora wobec rządzących *de facto* wypacza ich znaczenie. Czym innym jest jednak wchodzenie w dyskusje w interesie społecznym, a czym innym wspieranie konkretnego kandydata, za którym stoi konkretne ugrupowanie polityczne.

Dlaczego? Odpowiedzią na to pytanie jest jedno słowo: ZAUFIANIE. Obywatel musi mieć zaufanie do instytucji publicznej, że ta, wypowiadając taką, a nie inną opinię, kieruje się wyłącznie dobrem państwa i jego

mieszkańców, a nie interesem partykularnym jakiegokolwiek partii. Innymi słowy, że system polityczny ma charakter obywatelski, a nie patrymonialny, w którym instytucje są własnością prywatną stronnictw lub ugrupowań politycznych. Niestety w Polsce coraz częściej jesteśmy świadkami prywatyzowania instytucji, co pogłębia się wraz z polaryzacją sceny politycznej.

Nie dotyczy to zresztą wyłącznie kandydata Prawa i Sprawiedliwości. Podobne przykłady można było znaleźć w ostatniej samorządowej kampanii wyborczej, kiedy prezydenci miast – często związani z obecnie rządzącą tzw. koalicją demokratyczną – także wykorzystywali podległe im instytucje do celów kampanijnych. Tak było w przypadku łódzkiej kampanii Hanny Zdanowskiej, kiedy miejskie spółki publikowały na swoich mediach społecznościowych materiały ogłaszające start kandydatki oraz promujące – choć nie wprost – jej kandydaturę. Po wielu głosach krytyki z pomysłu się wycofano, a część instytucji usunęło swoje wcześniejsze wpisy.

Ogromną rolę w zwróceniu uwagi na ten proceder odegrały wówczas media oskarżane na co dzień o sprzyjanie szeroko rozumianemu obozowi liberalnemu. Swoje artykuły na ten temat opublikowała zarówno „Gazeta Wyborcza”, Onet, jak i TVN24. Czy na podobną reakcję mediów sprzyjających PiS można liczyć dzisiaj?

Angażowanie instytucji publicznych w kampanie wyborcze ma jeszcze dwie inne poważne konsekwencje. Po pierwsze: w kłopotliwej pozycji stawia pracowników

tychże instytucji, którzy przecież – choć może się to wydawać dziwne kandydatowi – nie muszą wspierać go politycznie.

Jeśli instytucja, w której pracują, staje się stroną w kampanii, to czy w ramach ich obowiązków zawodowych będzie też popieranie kandydata, a może aktywna praca na jego rzecz? I druga kwestia: jak spoglądać mają na taką aktywność inne instytucje? Czy dziś współpraca z IPN, współorganizacja konferencji, udział w warsztatach czy panelach będzie traktowany jako element kampanii i poparcie dla Karola Nawrockiego czy nie? A czy odmowa udziału w takowych – w obawie przez ich upolitycznieniem – nie będzie też traktowana jako deklaracja polityczna?

Jeśli instytucje publiczne staną się reprezentantami określonych środowisk politycznych, to siłą rzeczy tylko część obywateli będzie je obdarzać szacunkiem. Pozostali czuć się będą obcy we własnym kraju, budując wobec niego rzeczywistość alternatywną. Coraz więcej osób – chcąc pozostać poza sporem – przestanie zaś w ogóle ufać państwu jako takiemu i zaczną wycofywać się wyłącznie w sferę prywatną.

Jest to prosta recepta na upadek państwa i woda na młyn dla tych, którzy widzą je wyłącznie jako zbiór indywidualności. Im bardziej instytucje publiczne będą deklarowały się jako więźniowie polityki, tym mniej traktowane będą jako potrzebne. Już dziś z kręgów pracowników IPN słyhać kasandryczne wizje, że tak jasna deklaracja jest

dla instytucji wyrokiem, który w przypadku spodziewanej klęski Karola Nawrockiego, niechybnie zostanie wykonany.

Polacy jak kania dżdżu potrzebują dziś przestrzeni wspólnoty. Z jednej strony, aby poczuć się znowu jako naród, z drugiej dla sprawnego funkcjonowania państwa. Włączenie instytucji publicznej, odpowiedzialnej za tak delikatną sferę i tak tożsamościowotwórczą jak historia, do kampanii wyborczej, z pewnością temu nie służy, a tym samym nie wpłynie na uspokojenie konfliktu polsko-polskiego, o którym tak marzy kandydat PiS na prezydenta. Chyba, że te uspokojenie ma po prostu oznaczać pacyfikację jednej ze stron, a sposobem na wspólnotę będzie przymuszenie innych do miłości argumentem siły.

Naturalny w demokracji jest spór, nawet czasem bardzo ostry. Normalna jest różnica poglądów. Nie to jest źródłem patologii systemu. Istotą jest łamanie standardów, zasad konkurencji i zawłaszczanie przestrzeni, które z założenia powinny jak najmocniej realizować ideę wspólnoty.



| Kultura

Muzeum Sztuki Nowoczesnej – obserwator i sejsmograf zmian

Zofia Jabłonowska-Ratajska

Dopiero w działaniu MSN będzie próbowało określić swoją rolę i odpowiedzieć na pytanie: dla kogo ma być to muzeum? Dla historyków sztuki, krytyków, artystów, czy istotnie dla wszystkich?

„Muzeum jest instytucją trwałą, o charakterze niedochodowym, służącą społeczeństwu i jego rozwojowi, dostępną publicznie, która gromadzi, konserwuje, prowadzi badania, udostępnia i wystawia materialne i niematerialne

świadectwa działalności człowieka i jego otoczenia, w celu edukacji, studiów i dla przyjemności” – brzmi, sformułowana w roku 2007 przez ICOM (Międzynarodową Radę Muzeów), definicja. Dokładnie dwa lata wcześniej powołano Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, które wreszcie, w październiku 2024, doczekało się otwarcia własnej siedziby.

Zmienne lokalizacje

Od lat 90. Europa Środkowa przeżywa intensywny czas budowy muzeów i centrów sztuki współczesnej. Znalazły się wśród nich m.in. muzea w Pradze, Bratysławie, Budapeszcie, Brnie. W wielu polskich miastach powstały centra sztuki – jak np. „Łaźnia” w Gdańsku czy „Znaki czasu” w Toruniu, a także nowy budynek, najstarszego w tej części kontynentu muzeum sztuki nowoczesnej, w Łodzi.

To swoisty fenomen, któremu poświęcono wiele badań i dyskusji – najbardziej spierano się o potrzebę i przyszły kształt warszawskiego muzeum. Niektórzy twierdzili, że wystarczy Zachęta i CSW Zamek Ujazdowski – jedna w eklektycznym gmachu z końca XIX wieku, drugi w dawnym barokowo-klasycystycznym zamku królewskim. W końcu zapadła decyzja o budowie, nastął czas konkursów i zmiennych lokalizacji muzeum.

Pierwsza siedziba MSN-u znajdowała się na ul. Pańskiej 3. Następnie tymczasowo MSN gościło w dawnym Domu Meblowym „Emilia” przy ul. Emilii Plater 51 oraz

w Muzeum nad Wisłą, pawilonie ekspozycyjnym przy warszawskich bulwarach wiślanych. W długich dyskusjach toczących się wokół bryły muzeum, zwłaszcza po wyborze jego centralnej a zarazem bardzo trudnej lokalizacji, spierano się o to, co w niej najistotniejsze: ikoniczność, a może funkcjonalizm? Potrzebne jest muzeum jako dzieło sztuki, ikona, nowy symbol miasta, czy też funkcjonalne, dostępne miejsce, które może spełnić wszystkie wymogi wystawiennicze?

„Świetlna witryna”

I oto jest, zaprojektowany przez Thomasa Phifera – biały, betonowy budynek o eleganckiej gładkiej fasadzie, na planie prostokąta, z pasmem okien przecinających biel monolitów ścian na wysokości I piętra, otwierający się z jednej strony na zachodnią pierzeję Marszałkowskiej, a z drugiej na dawny Plac Defilad i dominujący monumentalizm Pałacu Kultury. Ma przypominać „świetlną witrynę” i stanowić, zwłaszcza w części parteru, miejsce spotkań, wykładów, warsztatów i forum kultury.

Stawiające na horyzontalną oś muzeum nie próbuje konkurować ze swoim sąsiedztwem, zresztą ideę „przysłonięcia” Pałacu Kultury można spełnić jedynie za pośrednictwem całościowego projektu urbanistycznego dotyczącego przestrzeni między placem a pałacem. Ten zaś dopiero czeka na realizację. Budynek łączy modernistyczną, bauhausowską ideę nowoczesnej, funkcjonalnej architektury, projektowanej pod kątem egalitarnego

społeczeństwa, z koncepcją formy otwartej Oskara Hansena.

Owa forma otwarta jako pierwszy trop myślenia o muzeum postuluje przestrzeń, która niczego nie narzuca. Jest prosta, niejako przezroczysta – do wypełnienia treścią. Postawiono na trwały materiał, zarówno architektoniczny beton w konstrukcji, jak i drewno jesionowe w wykończeniu. Wyłożone są nim np. przylegające do głównych galerii odpoczynkowe pokoje widokowe z oknami, przez które można oglądać miasto.

Wewnątrz symetrycznie zbudowanego budynku główną oś i system nawigacji tworzy klatka schodowa z podwójnymi, nawiązującymi do klasycyzmu schodami. Pośród innych, wtopionych w modernistyczną bryłę, dyskretnych cytatów dawnej architektury znalazły się świetliki umieszczone w dachu budynku oświetlające galerie drugiego piętra. Galerie pierwszego doświetlane są poprzez wspomniane pasmo okien. Sposób oświetlenia zapewnia jednolite, równomierne światło, tak istotne w ekspozycji dzieł sztuki. Beton, okna, schody i podziały przestrzeni – wszystkie elementy budynku opierają się na podstawowym kontraście, ciężkość–lekkość.

A zatem budynek pomyślany został jako tło dla sztuki, niedominujący ani przestrzeni, ani eksponowanych dzieł. Ale położenie w samym centrum miasta nadaje mu dodatkowe znaczenie, stanowi symbol zmiany i transformacji. Gmach muzeum stoi na miejscu pierwszej kawiarni, jaką wśród ruin przy Marszałkowskiej 119 otworzył Mieczysław

Fogg. Odbył się tam też pierwszy „Podwieczorek przy mikrofonie”.

Nieopodal przebiega linia wojennej granicy getta, a nad wszystkim góruje pomnik stalinizmu – takie usytuowanie stawia muzeum w roli obserwatora i sejsmografu zmian kulturalnych i społeczno-politycznych. Na razie otwarto budynek, magazyny, w których zdeponowana została kolekcja, oraz pracownie konserwatorskie i techniczne. Na samą wystawę, czy raczej wystawy kolekcji, wypełniające 21 sal muzeum, trzeba poczekać do lutego.

Sztuka zaangażowana

Co wiemy o koncepcji i planach wystawienniczych? Zapowiedzią tych planów były nieliczne, jak na ogromną przestrzeń muzeum (19 788 m²), dzieła eksponowane podczas dni otwarcia. Wśród nich socrealistyczny kolos, pomnik przyjaźni polsko-radzieckiej zaprojektowany przez Alinę Szapocznikow i postawiony następnie w holu głównym Pałacu Kultury. Oddany na złom w 1992 roku, powrócił teraz – uszkodzony – bez rąk i przypominać może trochę historię marmurowych herosów z filmu Andrzeja Wajdy.

To także zapowiedź tej części kolekcji, która odnosi się do kwestii rozstania z dziedzictwem komunizmu, i gdzie znalazły się (jeszcze w magazynach) m.in. dzieła artystów nadających kierunki polskiej sztuce powojennej. To Andrzej Wróblewski, Tadeusz Kantor, Maria Jarema, Jerzy Tchórzewski, Tadeusz Brzozowski czy Wojciech

Fangor – by wymienić tylko kilka nazwisk. I oczywiście wspomniana Alina Szapocznikow oraz Magdalena Abakanowicz, której duży abakan można było podziwiać podczas dni otwarcia. Polskim artystkom towarzyszyły znane postaci sztuki międzynarodowej – takie jak nagrodzona na Biennale w Wenecji Chilijka Cecilia Vicuna.

Inną z wybranych na otwarcie prac była rzeźba „Fasada” Moniki Sosnowskiej – poddana destrukcji stalowa replika osłonowej elewacji, jaką stosowano w modernistycznych budynkach. Swoisty antypomnik nowoczesności.

Głos oddano kobietom i rzeczywiście w planach muzeum znalazły się wystawy artystek współczesnych, ale nie tylko. W przyszłym roku odbędzie się wspólna z Muzeum Narodowym ekspozycja zestawiająca dzieła kobiet od wieku XVI i XVII po powstające dzisiaj. Jedną z pierwszych ma być również wystawa obrazów zmarłego w 2018 roku Edwarda Dwurnika – malarza, obserwatora współczesności, zanurzonego w swojską, polską tożsamość. Kolekcja traktowana będzie zatem jako zasób do kolejnych czasowych wystaw. Ale też krytycznego przepisywania historii sztuki, dyskusji nad tym, co stanowić ma jej – zależny od perspektywy – kanon.

Od kilkunastu lat kuratorzy muzeum współtworzą zbiór sztuki zaangażowanej w rzeczywistość społeczno-polityczną, zmiany i wojnę kulturową. Dlatego też wybrali, jako stały element ekspozycji, te przykłady sztuki powojennej, które miały szczególny wpływ na późniejsze postawy krytyczne. Wyjątkowy przykład stanowił duet

KwieKulik. Połączona z codziennym życiem, antysystemowa aktywność artystyczna Zofii Kulik i Przemysława Kwieka z lat 70. i 80. pokazana zostanie w formie instalacji umieszczonej w specjalnie przygotowanej przestrzeni. Znajdzie się tam również cenne archiwum ich działań.

Muzeum chce działać dwutorowo: z jednej strony będą to wystawy problemowe, planowane co najmniej z dwuletnim wyprzedzeniem, z drugiej zaś prezentacja działań artystycznych, będących reakcją na aktualność, różnego typu praktyki kolektywne, akcje efemeryczne nakierowane w stronę sztuki jako narzędzia protestu czy interwencji społecznej.

Muzeum dla wszystkich?

„Witryna” od ulicy Marszałkowskiej już zaprasza przechodniów do uczestnictwa i dyskusji. Obecnie trwa tam otwarta dla wszystkich wystawa „Trudna miłość. Między placem a pałacem” – międzynarodowy zbiór komentarzy artystów i artystek na temat historii, projektów i pomysłów, budowy i roli muzeum.

Dopiero teraz, w działaniu, MSN będzie próbowało określić swoją rolę i odpowiedzieć na liczne pytania, wśród których najważniejsze wydają się takie: jak dziś sztuka może budować polską tożsamość? Jak zbudować współpracę z Muzeum Narodowym i innymi instytucjami? Jak zdefiniować różnice między Zamkiem Ujazdowskim, Zachętą, MSN, jaka będzie tożsamość każdej z instytucji?

I wreszcie: dla kogo ma być to muzeum? Dla historyków sztuki, krytyków, artystów, czy istotnie, jak zapowiada dyrekcja, dla wszystkich?

Muzeum, odbijające dalekie echo modernizmu, ukazuje zarazem rozbitcie świata, któremu brak scalającej myśli czy koncepcji. Pozostał wielki, biały, minimalistyczny budynek – otwarty, by napełnić go nową treścią. Kolekcja, na którą czekamy, oznacza pewną trwałość, korzenie i dziedzictwo. Natomiast otwarty na „tu i teraz” parter – to swoista współczesna agora.

Sztuka współczesna jest bliska życiu, wtopiła się w codzienność, nie przemawia z piedestału. Nie wygłasza racji *ex katedra*, tylko zaprasza do dialogu. Nie ma też jednego kanonu wartości, formułującego ideę modernistyczną jeszcze kilka dekad wcześniej. I może właśnie dlatego trudno zdefiniować kształt muzeum. Ostatecznie demokracja w sztuce, mnogość, różnorodność mieszczą w sobie i naszą wolność wyboru.

Biogramy autorów

Bartosz Bartosik Redaktor naczelny portalu Więż.pl, dziennikarz i publicysta. Jest członkiem redakcji kwartalnika „Więż”, był sekretarzem think tanku Laboratorium „Więzi” i członkiem Rady Programowej projektu Oczyszczalnia. Należy do Zespołu Komitetu Dialogu Społecznego przy Krajowej Izbie Gospodarczej. Absolwent 32. Szkoły Liderów i Liderów politycznych. Autor wywiadów rzek z Adamem Bodnarem: „Obywatel PL” i „Nigdy nie odpuszczę”. Jest licencjonowanym facylitatorem dialogu Nansen Center for Peace and Dialogue. Ukończył slawistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Studiował również na Uniwersytecie Karola w Pradze. Pochodzi z Krosna, mieszka w Warszawie.

Damian Jankowski Publicysta, krytyk filmowy, redaktor portalu Więż.pl, członek redakcji kwartalnika „Więż” i Zespołu Laboratorium „Więzi”. Absolwent polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim. Prowadzi podcast „Oddech kultury”. Współpracuje z portalem Filmweb.pl. Autor czterech wywiadów rzek: „Innego cudu nie będzie” (z Waławem Oszejcą SJ), „Nie ma wiary bez pytań” (z ks. Andrzejem Pęcherzewskim), „Świat przyspiesza, ja zwalniam” (z Wojciechem Marczewskim) i „Koniec gry” (z Dawidem Ogrodnikiem). W 2022 r. ukazał się jego debiutancki tomik „Dwa punkty w skali apgar”. Mieszka w Warszawie.

Ewa Woydyło Doktor psychologii i terapeuta uzależnień. Autorka wielu książek, m.in.: „Wybieram wolność, czyli rzecz o wyzwaniu się z uzależnień”, „Zaproszenie do życia”, „Podnieś głowę: Buty szczęścia”, „Sekrety kobiet”, „My – rodzice dorosłych dzieci”, „W zgodzie ze sobą”, „Rak duszy”, „O alkoholizmie”, „Poprawka z matury”.

Wojciech Marczewski Reżyser i scenarzysta, profesor sztuki filmowej. Autor takich filmów, jak *Zmory*, *Dreszcze*, *Ucieczka z kina Wolność*. Współtwórca Zespołu Filmowego TOR, były wiceprezes Stowarzyszenia Filmowców Polskich i były prezes Federacji Dyskusyjnych Klubów Filmowych. Wykładał reżyserię w Niemczech, Danii, Szwajcarii i Holandii. Był dziekanem Wydziału Reżyserii w National Film and TV School of Great Britain w Londynie. Współzałożyciel i jeden z głównych wykładowców działającej od 2002 roku w Warszawie Mistrzowskiej Szkoły Reżyserii Filmowej Andrzeja Wajdy (dziś Wajda School), w której pełni też funkcję dyrektora programowego. W latach 2008–2014 członek Rady Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, od 2011 do 2014 jej przewodniczący. Członek Polskiej Akademii Filmowej i Europejskiej Akademii Filmowej (EFA). Laureat Srebrnego Niedźwiedzia na festiwalu Berlinale za film *Dreszcze*, zdobywca Srebrnych i Złotych Lwów na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni – za *Dreszcze* (1981) i *Uciezkę z kina Wolność* (1990). Odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Julia Fiedorczuk Pisarka, poetka, tłumaczka, krytyczka literacka. Za poetycki debiut „Listopad nad Narwią” (2000) wyróżniono ją nagrodą Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek. Laureatka Nagrody Poetyckiej im. Wisławy Szymborskiej za tom „Psalmy” (2018), w tym samym roku nominowana do Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej „Silesius”. W 2016 r. otrzymała nominację do Nagrody Literackiej Nike za powieść „Nieważkość”. Dwukrotnie (2020 i 2023) nominowana do Nagrody Literackiej im. Juliana Tuwima. Za powieść „Pod słońcem” (2020) nominowana do Nagrody Literackiej m.st. Warszawy. Współtwórczyni Centrum Humanistyki Środowiskowej na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie wykłada literaturę amerykańską. W 2023 r. ukazała się jej powieść „Dom Oriona”.

Robert Fidura Z zawodu heraldyk. Społecznie działa na rzecz osób wykorzystywanych seksualnie. Wcześniej publikował pod pseudonimem Wiktor Porycki. W latach 2019–2021 był członkiem Rady Fundacji Świętego Józefa powołanej przez Konferencję Episkopatu Polski.

Sebastian Adamkiewicz Doktor nauk humanistycznych, absolwent Uniwersytetu Łódzkiego, kustosz Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi. Publicysta i popularyzator historii. Współpracownik portali Histmag.org i tytus.edu.pl. Twórca słuchowisk radiowych i konsultant historyczny wystaw oraz projektów edukacyjnych. Interesuje się historią przełomów, obyczajowości

i miejscem dziejów w życiu społecznym i popkulturze. Mieszka w Pabianicach.

Zofia Jabłowska-Ratajska Historyczka i krytyczka sztuki, kuratorka wystaw, teksty o sztuce najnowszej publikowała w takich tytułach, jak m.in. „Obieg”, „Exit”, „Arteon”, „Format” czy „Plus Minus” oraz w licznych katalogach artystycznych.